

Jarosław Abramow-Newerly

PIÓREM I PAZUREM



1960-1962

PATRZYMY NA SIEBIE

Poznaliśmy się 1 kwietnia 1960 roku, w sam prima aprilis. Wtedy właśnie Włodzimierz Odojewski i ja zaczęliśmy razem pracować w radiu na ulicy Myśliwieckiej, ale ja słyszałem o nim już dużo wcześniej od Ojca, Igora Newerlego, który z ramienia Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich opiekował się młodymi pisarzami. W związku z tą funkcją dość często jeździł do Poznania na spotkania z tamtejszym Kołem Młodych Literatów, a kiedy wracał, gorliwie wypytywałem go o tamtejszych kandydatów na pisarzy. Chodziłem wtedy jeszcze do szkoły, ale bardzo interesowałem się młodymi, którzy w przyszłości chcieli zostać literatami. – To kto według ciebie najciekawiej się zapowiada? – dopytywałem. Wówczas zazwyczaj padały nazwiska: młodziutkiego Edwarda Bernsteina, czyli późniejszego znanego reżysera filmowego Edwarda Żebrowskiego, Piotra Guzega oraz Włodzimierza Odojewskiego.

– Jeśli chodzi o Odojewskiego, synu – mówił Ojciec – to jego proza wyróżnia się elegancją. Jest potoczysta, trochę poetycka i opisuje ludzi, głównie chłopów Łemków z okolic Leska, niezwykle prawdziwie. Myślę, że Odojewski dojrzał już do druku i będę

rekomendował jego książkę *Opowieści leskie* w wydawnictwie Czytelnik – oświadczył.

Zapamiętałem tytuł i kiedy książka się ukazała, z ciekawością ją przeczytałem. „Świetnie chłop pisze – przyznałem w duchu Ojcu. – Ma dopiero dwadzieścia cztery lata, a tyle wie o starości i przemijaniu”.

„Zadziwiająco” – zadumałem się, kiedy dość sztywno przedstawił mi się w pokoju radiowym: – Odojewski jestem – i wyciągnął do mnie rękę.

– Abramow – Uścisnąłem ją szybko. – Miło mi. Wiele o panu słyszałem od Ojca. Poza tym czytałem *Opowieści leskie*. Bardzo dobre – dodałem.

– Hm, tak pan sądzi? – zamyślił się. – Naprawdę się panu podobają? – spytał.

– Naprawdę – odparłem.

– To się cieszę – rozpromienił się i opadła z niego cała wcześniejsza sztywność.

Patrzył na mnie swymi przenikliwymi, skośnymi oczami, po czym dodał:

– Ja pana pamiętam jeszcze w krótkich spodenkach, jak przyjeżdżałem do was do domu na Żoliborz, do pańskiego ojca – zaśmiał się. Te „krótkie spodęki” wymówił z nosowym „ę”, co od razu wychwyciłem. – A teraz będziemy razem pracować, stół w stół – wskazał dwa biurka stojące pod oknem. – Trzeba im się bardziej przyjrzeć – to „trzeba” wymówił jako „czeba” i klepnął ręką w blat. – Które pan wybiera? Przy ścianie czy przy oknie? – spytał.

– Wszystko jedno – odparłem.

– Jeśli tak, to ja wybiorę to przy oknie – zdecydował i usiadł za biurkiem.

Oprócz nas w pokoju pracowały jeszcze Zofia Doroszowa i Jadwiga Płońska z mojej redakcji. Nazywała się ona wtedy Teatr Młodego Słuchacza. Bardzo nie lubiłem tej nazwy, kojarzącej się

z teatrem dla dzieci, i kiedy tylko zostałem kierownikiem redakcji (po tym jak dotychczasowa szefowa, pani Zofia Doroszowa, odeszła do telewizji), zaproponowałem zmianę na Radiowy Teatr Młodych, co zostało zaakceptowane przez kierownictwo radia.

Rok 1960, kiedy zaczynaliśmy pracę na Myśliwieckiej, można w ogóle uznać za przełomowy. Ówczesny Prezes Komitetu do Spraw Radia i Telewizji Włodzimierz Sokorski oraz jego zastępca Henryk Werner zdecydowali, że najwyższy czas postawić w radiu na młodych i wymienić kadry. Popierali ich dyrektor programowy Polskiego Radia Stanisław Stampf'l oraz długoletnia dyrektor Naczelnej Redakcji Literackiej Programu I i II Alina Szenwaldowa. Wszyscy oni byli stałymi bywalcami Studenckiego Teatru STS, oglądali każdą premierę i myślę, że posadę w radiu zawdzięczałem właśnie sympatii do naszego teatru. Wkrótce zresztą udało mi się wprowadzić do mojej redakcji kolegę z STS-u, Andrzeja Wiktora Piotrowskiego, wielkiego erudyty i ciekawego człowieka – więcej o nim za chwilę.

Włodzimierz Odojewski także miał propozycję nazwy – chciał przemianować redakcję słuchowisk na Studio Współczesne Teatru Polskiego Radia. A że wcześniej taka redakcja w ogóle nie istniała, to stworzył ją od podstaw. Starał się też, tak jak ja, wprowadzać do radia swoich przyjaciół, młodych prozaików, i wkrótce w jego redakcji zaczęli pracować Janusz Krasiński i Władysław Lech Terlecki. Nasz pokój w radiu był przepełniony: stało tam pięć biurków i kiedy przychodzili goście, to żeby swobodnie porozmawiać, schodziło się do swoistej kawiarni literackiej mieszczącej się w podziemiach, czyli do radiowego bufetu. Tam też, w parę dni po objęciu przez nas posad, Włodzimierz Odojewski oświadczył uroczyście:

– Jako człowiek starszy od Pana proponuję wypić brudersaft. Włodek jestem!

– Jarek! – ucieszyłem się. – Ten „w krótkich spodkach” – dodałem zaraz, przedrzeźniając go, i wyściskaliśmy się z dubeltówki.

W tym bufecie zazwyczaj jadalіśmy obiady, a także spotykaliśmy się z kolegami z innych redakcji. Kiedy nie było czasu zejść do podziemi, to zamawiało się kawę „plujkę” albo herbatę ulung u sprzątaczkі pani Zosi, która w rogu korytarza miała swój mały, prywatny biznes, czyli czajnik z wodą.



Przed naszym pojawieniem się w radiu było bardzo mało oryginalnych polskich słuchowisk. Tyle co wcale. Śmiałem się, że skończyło się na przedwojennym *Zegarku*, napisanym przez Jerzego Szaniawskiego bodaj w 1925 roku. Powszechnie królowały adaptacje, to znaczy przeróbki książek na słuchowiska. Zajmował się tym redaktor Klemens Białek, bardzo godny pan w sile wieku, który wcześniej pracował w Ministerstwie Kultury i Sztuki, i żartowano, że analiza słuchowiska wykazuje ślady Białka, oraz dwie przemiłe Zofie: Orszulska i Zawadzka. I chociaż Adaptacje miały osobną redakcję, to obydwie siedziały w naszym pokoju. Mała i skromna Zofia Zawadzka, która – jak głosiła legenda – była bohaterką sanitariuszką podczas Powstania Warszawskiego, mówiła niewiele, zwykle w skupieniu czytała teksty, natomiast Zofia Orszulska, polonistka na tajnym Uniwersytecie Warszawskim i również uczestniczka Powstania, mówiła chętnie i dużo. Na przykład, że jej kolegą na tych tajnych kompletach był Stanisław Frybes, który wykładał u mnie na polonistyce. Słuchaliśmy z Włodkiem jej opowieści z dużą ciekawością.

Aby zdobyć oryginalne słuchowiska, radio organizowało konkursy. Najczęściej miały one charakter rocznicowy. Myśmy się tym jednak z Włodkiem nie przejmowali i wspólnie ułożyliśmy listę zaproszonych autorów. On wstawił swoich przyjaciół poetów i prozaików, a ja – swoich. Zachętą do pisania dla radia była zaliczka, tak zwane wadium. Wynosiło ono 3000 złotych, co wówczas równało się moim dwóm redaktorskim pensjom. W ra-

zie nienapisania słuchowiska trzeba było owe wadium zwrócić, a że tego nikt nie chciał robić, to teksty na konkursy napływały obficie.

Dla mnie najważniejszy był pierwszy konkurs, bo napisałem na niego nie satyryczny skecz, a swój pierwszy poważny tekst. Moje słuchowisko *Zasada* rozgrywało się w dwóch planach czasowych: podczas wojny i współcześnie, i dotyczyło sprawy głównego bohatera, *Zasady* – taki był jego okupacyjny pseudonim. W jury zasiadali znani dramaturgowie i o tym, że zdobyłem wyróżnienie, zawiadomił mnie telefonicznie mój sąsiad z podwórka, poeta i dramaturg Aleksander Maliszewski, patronujący mojej wczesnej twórczości.

Wyróżnienie mnie podbudowało, słuchowisko wyreżyserował świetnie Jan Świdorski, a w obsadzie znaleźli się młodziutki aktorzy: Adrianna Godlewska i nieżyjący już Krzysztof Kowalewski. I chociaż w tym konkursie Włodek nie zdobył żadnej nagrody, kiedy mu opowiedziałem o swoim sukcesie, radośnie wykrzyknął: – Czowieku! To wspaniała wiadomość. Bardzo się cieszę! – i bez cienia literackiej zawiści serdecznie mi pogratulował.

Słuchowisko *Zasada* miało dalszy ciąg. Wysłuchał go bowiem Tadeusz Kubalski, dyrektor Teatru im. Bogusławskiego w Kaliszu, i zaproponował mi, żebym przerobił je na sztukę teatralną. W ten sposób, dzięki radiu, znów trafiłem do teatru i w 1962 roku świętowałem w Kaliszu prapremierę *Zasady* w reżyserii Zbigniewa Besserta.



Radiowa znajomość bardzo szybko zmieniła się w trwałą przyjaźń a Włodek Odojewski stał się moim najbliższym doradcą literackim. Miał olbrzymią kulturę literacką, świetny smak i wielki talent redaktorski. Robił w tekście znakomite skróty i podawał ciekawe pomysły. Pod jego przyjaznym okiem dojrzewałem jako autor

słuchowisk radiowych i sztuk teatralnych. Ja z kolei odwdzięczałem mu się swoimi uwagami o jego pisarstwie. Był rasowym prozaikiem ze świetnym warsztatem literackim, po mistrzowsku operował strumieniem świadomości i na początku pracy w radiu przestawienie się na dramaturgię przychodziło mu z trudem. Dialog pisany różni się od dialogu mówionego i trzeba się tego po prostu nauczyć. Ja pod tym względem miałem większe doświadczenie, zdobyte w STS-ie, i chętnie udzielałem mu rad, które z wdzięcznością przyjmował. Był bardzo pojętnym uczniem i szybko z prozaika wyrósł na radiowego dramaturga. Inna sprawa, że jego teksty były bardzo finezyjne i wymagały wyśmienitego aktorstwa. Na przykład skrypt *Patrzmy na siebie* przesłano do Teatru Polskiego Radia, który mieścił się w drugiej części gmachu, i zrealizowano. Obydwaj uczestniczyliśmy w przesłuchaniu nagrania i obaj byliśmy przerażeni.

– Nudy na pudy – stwierdził zgnębiony Włodek. – Zamordowali mi tekst. To *Paczymy na siebie* jest nie do słuchania!

– Zgadzam się. Z twojego tekstu nic nie zostało. Okropne – przyznałem.

Przysłuchiwał się temu Jurek Markuszewski, już wtedy dyrektor Teatru Polskiego Radia, i rzucił: – W takim razie, panowie, nagramy to jeszcze raz. W nowej obsadzie, proponuję.

Zgodziliśmy się z radością. Jurek sam reżyserował, a do studia zaprosił Alinę Janowską i Edwarda Dziewońskiego. I oni teraz naprawdę patrzyli na siebie, i naprawdę prowadzili małżeńską rozmowę. Nagle tekst zaczął błyszczeć, dialog zaiskrzył się humorem, ani cienia nudy i żalowaliśmy, że wszystko tak szybko się skończyło. Trudno było uwierzyć, że to ten sam tekst. To była dla nas poważna lekcja radia.